

Przez jakiś czas, niepotrzebny nikomu, tkwiłem w Halifaxie, w tym zapyziałym miasteczku w Nowej Szkocji. Mając dwadzieścia jeden lat, wyciągnąłem plecak spod łóżka, spojrzałem w szeroko otwarte oczy ciotki i ruszyłem w stronę dworca, mając w głowie tylko przesiadki i loty.

— Mark, tylko nie zmarnuj sobie życia — rzuciła ciotka na odchodne.

Byłem za daleko, żeby odpowiedzieć.

Londyn trzyma się mocno, ale wygląda trochę inaczej niż w telewizji. Znowu tu jestem, przeszłości nie zostawiłem daleko za sobą. Mam chyba pecha, wracając po latach do domu o żółtych ścianach, tych samych, które patrzyły, jak przychodziłem na świat. Rodzice od dawna nie żyją. Pustka i ten dom - to wszystko, co mi po nich zostało... Sama myśl o tym jest przerażająca.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, kierowca po kozacku zaparkował taksówkę przed samym frontem typowego budynku z portierem. Zacząłem się niespiesznie rozglądać: nieskalany chodnik, starannie utrzymane balkony, emanujący ciepłym światłem hall...

Poczułem się mile zaskoczony.

— Czekasz na znak z nieba, żeby wysiąść? — nagle spytał, wyciągając owłosioną łapę po gotówkę.

Głos taksówkarza brzmiał głupio i tak niechętnie, że o mało nie straciłem zimnej krwi.

— Hm, no tak. Zagapiłem się, a ty bracie, od razu się rzucasz — sapnąłem.

Uniósł brwi.

— Jasne! Okej! — jego lepszy profil mówił, że mnie obserwuje.

Pomyślałem, że w końcu dostanie szafu i zapłaciłem, rzucając najlepszą wersję swojego, żalosego, umęczonego spojrzenia.

Na zewnątrz noc szczykała zimnem. Narzuciłem kurtkę na sweter. Stary kod do domofonu zadziałał, gorzej było z windą. Ruszając, zamknęła się na mojej bojówce. Nadałem policzki - *Dobrze, że elegancki facet z bukietem róż w porę wcisnął guzik.*

— Zwycięstwo albo śmierć. Odwrót jest wykluczony — wykrztusiłem, przekraczając próg zatęchłego mieszkania.

Czekała na mnie cisza. Przenikliwa, nieznośna, niekończąca się, ogłuszająca i pozbawiona energii.

Minął okrągły miesiąc, od kiedy zaszyłem się w nowym domu. Za oknem mija tyle życia. Rzadko wychodzę, dopiero, gdy burczy mnie i mojemu kotu w brzuchu. Przyzwyczałem do tego głosu i posiłków, samotnie spożywanych w chińskiej knajpce za zakrętem. Piwo poprawia mi humor. Wysoki kufel i wracam na właściwe tory. Gdy zaspokoję głód, z góry albo z dołu patrzę przez uchyloną szybę na zatłoczoną ulicę, na tę rozległą przestrzeń, taką nieprzydatną.

— Zamiast przynosić wieści ze szlaku, jesteś nudna i poukładana, smakujesz kurzem i wielkomiejskim pośpiechem. Cóż dla ciebie znaczy moja obecność w tym wielkim mieście? — pytam, ale nic się nie wyjaśnia.

Wieczorem, zamiast czułość wysyłać esemesem, gapię się w telewizor, sprzątam, piorę lub czytam książki. Te, które mnie w dzieciństwie nudziły teraz mają branie. Na półkach na oko stoi ich tysiąc, większości jeszcze nie otworzyłem. Od reszty odgradza je gruba szyba. Przewracając stronę po stronie, karmi mnie słowa, gorączkuje wyobraźnia. Czyjeś historie robią szczelinę w rzeczywistości, pozwalają poczuć się kimś innym, odpocząć od świata, od jego zgiełku i pytań bez odpowiedzi.

Nie mam z kim pogadać. Zresztą nie mogę wymagać od nikogo, żeby mnie wysłuchał, a co dopiero zrozumiał. Wszystko już powiedziałem wtedy, w sądzie. Godzinami wysiadywałem twardą ławkę, może nie codziennie, ale wystarczyło. Potem pocilem się, wchodząc przez wielkie drzwi, powietrze falowało przed oczami. Nie rozumiałem, co mówił do mnie sędzia. Patrzyłem na jego niebezpiecznie wysunięty w uśmiechu podbródek i bałem się, że się zatnę i narobię sobie wstydu.

— Musi się tym dzieckiem zająć terapeuta, to poważna sprawa — wycedził na koniec rozprawy, prosto w ucho ciotki.

Przesłuchanie było ponad moje siły, ale cóż mogłem zrobić przerażony, samotna drobina na środku wielkiej zimnej sali sądowej. *Znikąd pomocy*, żaliłem się w duchu. Na samo wspomnienie rzygać mi się chce. I jak, by tego było mało: w toalecie, na ławkach w hallu, wszędzie słyszałem szept:

— Jakiś zimny ten dzieciak? Popatrzcie, nie płacze...

Miałem ochotę wykrzyczeć im prosto w twarz, głowa pękała od natłoku myśli: *Wypierdalać! Ocalałem z wypadku, przecież to nie moja wina! Moi rodzice jechali na koncert ojca po zastrzyk sławy. Ich jeep wpadł w poślizg, zginęli na miejscu, oboje. Gdy zobaczyłem ich śmierć dotarło, że moje bezpieczeństwo diabli wzięli, i że nieprzewidywalność jest częścią życia. W jednej chwili zmieniło się moje postrzeganie świata. Bez ojca i jego muzyki świat rozpadł się na kawałki. Okropnie było stracić mamę. Tej tęsknoty nie da się wyleczyć. Kochało mnie jej spojrzenie, jej śmiech, jej ciało.*

Wtedy nie umiałem płakać, nie mogłem. Jak o tym myślę, trudno oddychać, ale kurwy i gówna z ust już nie padają. Rodzice nie przeklinali, byli tacy porządni. Postanowiłem, że będę szczęśliwy, jak oni. Właśnie tego chciałyby matka. Jeśli wydaję się podirytowany i niewdzięczny, to, dlatego, że jest to podszyte żalem, z racji tych małych rzeczy, których w ogóle nie zrobiłem lub zrobiłem źle.

Wierzę, że to w końcu minie i będę cieszyć się jesienią.

Póki, co mam trudności z nawiązywaniem nowych kontaktów i ciągle boję się ludzi. Jestem wytrenowany w smutku — ze mną można umierać, ale nie żyć.

Mój kot patrzy na mnie spode łba, chyba znowu robi mi wyrzuty.

— Kocie, nie przywiązuj się ani do rzeczy materialnych, ani do własnych planów na przyszłość. Im mniej spraw masz na głowie, tym lepiej. Nie wiem, czy uciec, czy tu trwać ?

Mruczenie. Mądra bestia.

— To twoja odpowiedź? Popatrz, na ten bajzel, nie drażni cię syf i sterty zakurzonych pudeł? To moje codzienne, żmudne ćwiczenia. Wczoraj wpadł mi do rąk pamiątnik Anny i Toma — moich rodziców. Leżał wśród śmieci na podłodze, gruby, o wyświechtanych rogach, oprawiony jak książka. Widzisz, od rana siedząc w piżamie, przewracam jego wilgotne kartki. Wszystko wskazuje, że dziś nie zasnę.

Tom. 14 września 1980 r.

*Była czwarta po południu. Stałem przy wejściu do stacji metra, gdzie miałem grać ze swoimi gitarzystami. Nie mając dostępu do sali prób, od kilku dni ćwiczyliśmy na ulicy, publicznie, przed nie nieplacącą, a zatem niewymagającą widownią. Nie ukrywam, była w tym oszczędność i wygoda. Chłopaków ciągle nie było, nawet się ucieszyłem. Skoro ma się jedno życie... i bez wahania wyjąłem z futerału trąbkę, zapragnąłem pograć sam. Whisky kręcił się niemożliwie, rozpaczliwie zaglądał w oczy, wyraźnie zaniepokojony tłumem obcych. Gdy próbowałem go uspokoić, dostrzegłem stojącą przy krawężniku roześmianą, smukłą dziewczynę. Nie wiedziałem kim jest, bałem się zagadnąć, ale dureń ze mnie. Zwróciła uwagę granatowa, krótka sukienka, długie włosy jak miliony rudych motyli uśpionych na głowie.**) Błyszczące w uszach kolczyki były tylko bladym dodatkiem. Aż trudno mi teraz, w to wszystko uwierzyć. Wpatrywałem się w nią a świat otwierał korytarze. Dziewczyna zdawała się rozumieć, co się działo. W jej wzroku zauważyłem coś nieprawdopodobnego, kojącego, jakby chciała mi coś powiedzieć. Poczulem, że doświadczam niezapomnianej chwili. Zanurzając się w niej bez reszty, dopiero spostrzegłem, że siąpi deszcz. Słońce świeciło, krople padające z błękitnego nieba były jak kryształki. Rozpryskując się w drobiny światła, na linii trotuaru kończyły swój lot. Obserwując cud dziennego światła, przyłożyłem trąbkę do ust, popłynęła muzyka, jakiej nie grałem nigdy dotąd. Niskie, przeciągłe tony snuły się między kroplami deszczu, by po chwili gdzieś zniknąć. Gdy grałem, moje myśli krążyły wokół pięknej nieznajomej, wyobrażałem sobie te jarzące się oczy i usta rozwarłe w zapraszającym uśmiechu. Mój dotychczasowy świat odjeżdżał na deskorolce.*

Trzy tygodnie później ujrzałem ją znowu, stojącą z przyjaciółkami przed klubem, gdzie miała wystąpić amerykańska grupa soulowa Gladys Knight and the Pips. Dawala tylko jeden koncert, kolejka była długa i donośna, ale kiedy tłum ruszył do środka, udało się stanąć za jej plecami. Powietrze w klubowej sali było naelektryzowane muzyką, pulsowało. Gdy ucichły instrumenty, dziewczyna odwróciła się, popatrzyła na mnie, obdarowując tym samym cudownym spojrzeniem, które sobie tylekroć wyobrażałem.

— Anna — odpowiedziała, gdy spytałem o imię.

Anna. 14 grudnia 1982 r.

Płatki śniegu wirują w powietrzu, niczym motyle zwabione zapachem kwiatów. Jest środek nocy, pełnia. Stoję, na przekór zdrowemu rozsądkowi, wtulona w ciemny kąt tarasu, a one lądują na włosach i na zaczerwienionych od mrozu dłoniach. W moim nikłym uśmiechu jest zamyślenie i tęsknota. Samotny, biały płatek siada na opuszcze palca, zabijam go nadmiarem ciepła, zostawia po sobie łzę. Whisky pozostawił ich we mnie więcej. Po jego odejściu wieje pustką z każdego kąta naszego domu. Czuję ciepło jego połyskliwego futerka na poduszce i nie mogę zapomnieć tego przymilnego mruczenia w nadziei, że rzucę mu upatrzonego, smaczny kęsek.

*Czemuż tak wiele wierszy jest o kotach? W każdym poeta zamyka jakąś opowieść, z umiarem, bez słownego wysiłku. Sprawdziłam, koty to wdzięczny temat. Tom mówi, że piszą je piórem, bo tyle zazwyczaj zostaje z zabłąkanych pod koci dach ptaków.**) Z smutnej zadumy wyrwa mnie muzyka, jest jak nieoczekiwany prezent.*

Wracam do sypialni, ściągam powoli džinsy, zwykle nie noszę bielizny. Widzę hipnotyzujące oczy Toma. Nucąc, obdarowuje mnie tym samym lirycznym kawalkiem, który odmienił nasze życie. Przytula mocno. Czuję na skórze jego niecierpliwy oddech. Kochamy się spokojnie, wymyślnie, długo.

Tom zawsze stara się, by mój powrót do łóżka uczynić nowością. Tu i natychmiast potrzebuję jego obecności. Muzyka i miłość to jedno – teraz to wiem. Podnieca mnie, gdy leżę pod jego ciałem, gdy trzyma mnie w silnych ramionach. Nie odmawiam mu niczego. Kładzie mi ręce na brzuchu, głaszcze, całuje. Spodziewamy się dziecka. Ciągłe zachwycają mnie jego ponętne usta, mimowolne poczucie humoru i to jak gra. Gdy pierwszy raz ujrzałam go grającego na trąbce w deszczu i utkwiony we mnie wzrok tego pociesznego, burego kociaka, świat zawirował. To było jak przebudzenie. Właściwie, nie byłoby naszej historii, gdyby nie Whisky — koronny świadek narodzin miłości o banalnym początku. Na samo wspomnienie, słyszę śpiew trąbki Toma i już nie muszę się starać, by ustalić, gdzie mieszka.

Deszczowy poranek po nocy bez snów. Spokój. Delikatność jesieni. Na koniuszkach żółknących liści zwisają wielkie krople deszczu. Wychodzę, po mleko dla kota, to tylko dwie ulice dalej. Jestem już na parterze, ale wydaje mi się, że nie zamknęłam drzwi mieszkania. Wiedziony impulsem, postanawiam wrócić, by sprawdzić, tak dla pewności. W korytarzu echem rozbrzmiewają moje kroki. Dotykam ręką klamki. Drzwi do dawnego pokoju rodziców zapraszają. Czas się zwija. Zalewają mnie obrazy, uczucia, myśli, aż brakuje tchu. Te same róże w porcelanowym wazonie, ten sam żyrandol, stylowe meble.

Ile w tym wmówienia, a ile rzeczywistości — czy można zapamiętać przeżycia z tak wczesnego dzieciństwa?

Nie chcę się na tym zastanawiać. Może coś mi jednak z tych lat zostało? Uwielbiałem chwile, w którym towarzyszyło ciche pomrukiwanie łódki i szelest myśli moich bliskich. Tworzę w pamięci taksonomię

twarży moich rodziców. Oczami wyobraźni widzę matkę. Skupiona siedzi przy swoim sekretarzyku w perkalowej koszuli do kostek. Czuję zapach jej perfum, słyszę miarowy oddech. Pisze wiersze, bo cóż może robić innego? Ojciec paląc papierosa, nie spuszcza z niej wzroku. Chyba powstrzymuje się od wzięcia jej w ramiona. Oczy mu lśnią, chyba rozumiem, co ma na myśli. To niesamowite. Odczuwam lekki zawrót głowy, odpływają ściany, ale to nic, przejdzie. Odwracam się, tata się uśmiecha, kładąc duże spokojne dłonie na moich ramionach.

Stoję i nie mogę się ruszyć. To niemożliwe, znowu słyszę muzykę!

Biorę na ręce mojego kota, idę pewnym krokiem przez długi korytarz. Ostatnie drzwi są otwarte na oścież. Wychodzimy na Columbia Road. Moje serce bije inaczej, już *nie boję się deszczu, bo gdy spada na ziemię, przynosi skarby z powietrza**.

*) *blog pinger pl.*

**) *inspiracja fragment utworu "Siatka na motyle"*

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

JOLA S., dodano 06.10.2018 20:08

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.